

Długo jeszcze leżeliśmy na materacu, na próżno wypatrując w ciemności jakiegokolwiek znaku potwierdzającego słusność naszego wyboru. Może to nie był dobry krok? Może strzeliliśmy sobie po prostu w kolano, ale jeszcze wstyd nam się było do tego przyznać? Leżąc na tym niewygodnym materacu, który irytująco skrzypiał przy każdym oddechu Pawła, czułam narastające napięcie. Kielkowała we mnie obawa, że mogliśmy popełnić błąd. Moją ekscytację przysłoniła niepewność, zwątpienie i... przerażenie. W takich chwilach na tej przeklętej kolonii dzwoniśz po prostu do mamy, a mama przyjeżdża i zabiera cię do domu. DO DOMU...

Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam i jak długo udało mi się tak właściwie spać. Chyba niezbyt długo, bo czułam się niesamowicie zmęczona, a przy tym obolała od durnego materaca. Gdy otworzyłam oczy, w pomieszczeniu było już całkiem jasno. Paweł leżał wciąż obok, grzebiąc coś w telefonie.

- Nie ma internetu – odezwał się chłodno na przywitanie, jakby to był teraz największy problem tego miejsca.
- Myślę, że mamy tyle do roboty, że długo internet nie będzie nam potrzebny.
- Ale coś trzeba będzie z tym zrobić. Nie możemy na dłuższą metę być tak odcięci od świata.
- Może najpierw się skupmy na tym, żeby mieć gdzie spać i na czym gotować, co? Bo kolejnej nocy na tym materacu i kolejnych kanapek z pasztetem to ja nie przeżyję. Internetem będziemy się martwić później.
- Chciałem pogodę sprawdzić na dzisiaj, ale oczywiście się nie da.
- No cóż... zamiast na radary będziesz musiał spojrzeć tym razem w niebo...
- Bardzo śmieszne, Karolina, bardzo śmieszne. Zobaczymy, jak będzie ci do śmiechu, gdy przyjdzie ulewa i wszystkie kartony z rzeczami nam pozalewa.
- To... może zamiast leżeć z telefonem w ręce, zaczniemy je przenosić do środka?
- Tak na pusty żołądek? Śniadanie. Najpierw zjemy śniadanie, a potem będziemy się martwić resztą.
- Nie. Najpierw to ja nastawię kawę. Potem będziemy się martwić resztą.

Przed chwilą żaliłam się, że leżenie na tym cholernym materacu było trudne, a ja obolała, ale jednak ostatecznie cofam moje słowa. Leżenie nie było, jak się okazało, największym problemem. Gorzej było ze wstawaniem z tego ustrojstwa. Ja nawet nie wiedziałam, że mam tyle mięśni! Wszystko mnie bolało. Dosłownie wszystko. Z pewnością wczorajsze noszenie pudeł też się do tego przysłużyło, ale ja tam swoje wiem – ten materac jest głównym winowajcą. Na tym po prostu się nie da spać!

Dopiero zapach gorącej kawy poprawił mi nieco humor. Chwyciłam kubek i ruszyłam do drzwi, jak obiecałam sobie jeszcze dawno temu, gdy oglądaliśmy to miejsce po raz pierwszy.

- A dokąd ty się wybierasz taka porozbierana? – zapytał Paweł, słusznie zauważając, że koszulka na ramiączkach i majtki to jednak średni outfit, nawet jak na nasze zadupie.
- Kawę będę pić. Podziwiając widoki.
- No ja nie wiem, kto tu bardziej będzie widoki podziwiał...
- Oj, spadaj, jest lato, poza tym nie ma tu nikogo, a kawa mi stygnie.

Z trudem otworzyłam pozamykane przez Pawła na miliony spustów drzwi i – w założonych w pośpiechu japonkach – ruszyłam przez ganek na ogród, dzierżąc w ręce kubek

kawy niczym największy na świecie skarb. Zrobiłam parę kroków po mokrej i okropnie zimnej wysokiej trawie, po czym prawie poślizgnęłam się w tych japonkach na przesiąkniętym wodą mchu, niemal wylewając moją ukochaną kawę. Na mojej twarzy już wtedy musiał się chyba pojawić grymas lekkiej irytacji, ale przecież Karolina się nie poddaje. Gdy Karolina sobie coś postanowi, tak ma być i koniec. Dojdę do tej durnej huśtawki na wzgórzu, choćby nie wiem co. I będę siedzieć i podziwiać widoki, o! To mój pierwszy poranek tutaj i ma być magiczny, bo noc wcale taka nie była. Będzie magicznie, tak jak zaplanowałam! Będzie, żeby nie wiem co!

Z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej się zastanawiałam, czy szybciej zapadnę się w błocie, czy zatańczę piruety życia na mokrym mchu. W sumie obie opcje były wysoko prawdopodobne, ale nic mi nie popsuje magii tej chwili, nic! Los oczywiście miał w tej kwestii inne zdanie, co szybko postanowił mi udowodnić, bo nagle, patrząc w niebo zamiast pod nogi, zahaczyłam japonką o jakiś kamień czy konar i poleciałam do przodu jak długa. W ostatniej chwili udało mi się uratować kawę. Dobra, nie całą, ale większość. Klapka nie uratowałam. Pękł i został w trawsku. Stałam tak w tych moich rozczochranych blond lokach, mokrych po uda gołych nogach i jednej japonce, trzymając w dłoni kubek wzburzonej kawy, a Paweł obserwował wszystko z ganku z politowaniem, nie odzywając się jednak ani słowem.

Ooo nie! Nic mi nie popsuje magii tej chwili! Dojdę do tej huśtawki z kawą, choćbym miała resztę trasy iść z jednym butem! Udałam, że nie widzę stojącego w progu domu Pawła, i dzielnym krokiem ruszyłam przed siebie, by dojść do huśtawki pod starą lipą i z kubkiem gorącej kawy (dobra, letniej...) podziwiać widoki ze wzgórza. Jak sobie założyłam, tak w końcu zrobiłam. Dotarłam na wzgórze w jednym bucie i z kubkiem kawy w dłoni. Mokra, rozczochrana i lekko zziębnięta, ale dotarłam. Usiadłam triumfalnie na huśtawce, ale jeszcze szybciej, niż siadałam, poderwałam się do góry. Zimna i moooooookra! OK, przyznaję, majtki to jednak kiepski outfit. Czy choć jedna rzecz może mi się udać? Popatrzyłam przed siebie, by chociaż nacieszyć oczy widokami, ale i to, oczywiście, nie było mi dane. Malowniczy wschód słońca, o którym marzyłam, już dawno minął, a teraz do podziwiania pozostały mi jedynie zaciągnięte grubymi chmurzyskami niebo i szare, nijakie łąki. Super. Po prostu super.

Na szczęście został mi on. Wierny przyjaciel, który nigdy mnie nie zawodzi. Przechyliłam z nadzieją kubek, by choć kawą w tej już-nie-magicznej chwili móc się faktycznie nacieszyć i... była zimna. Zimna, kurwa. Serio?!

Tyle z mojej magii chwili. Pora skapitulować. Zrezygnowana odwróciłam się na pięcie, postanawiając wrócić do domu. Tuż za mną jednak zobaczyłam Pawła. Stał rozbawiony w szarych spodniach dresowych i wielkiej workowatej bluzie z kapturem, która przykrywała całkiem nie tylko jego jasne włosy z wyraźnie już zaznaczonymi zakolami, lecz także pół jego twarzy. Szczerze nienawidziłam tego zestawu, bo zupełnie nie pasował do mojego pana nauczyciela matematyki, czy też wyidealizowanej wersji eleganckiego pana od matematyki, tylko co najwyżej do jakiegoś Seby z blokowiska. Paweł trzymał w ręce jasny materiał. Aha, pomyślałam sobie, stwierdził, że w moim szaleństwie już tylko biały kaftan mi pozostaje i wariatkowo.

– Przyniosłem ci płaszcz – odezwał się, zakładając jednocześnie na moje zziębnięte ramiona stare, lekko zakurzone odzienie, które znaleźliśmy wczoraj w szafie.

- Nie potrzebuję...
- Dobra, dobra. Mam też tutaj... – Mówiąc to, sięgnął do dużej torby, której wcześniej nie zauważyłam – grube skarpetki i kalosze.
- Nie będę żadnych kaloszy nosić! Chyba jesteś śmieszny! – odpowiedziałam w kontrataku, choć nie wiem w sumie, kto w tym momencie śmieszniej wyglądał, ja w jednej japonce czy on z czerwonymi kaloszami w ręku.
- Włóż, włóż, bo mam coś jeszcze. To niespodzianka, ale tylko dla grzecznych dziewczynek... – odpowiedział tajemniczym głosem, jakby mówił do dziecka.
- Niech ci będzie... – przytaknęłam nieco już zobojętniała i zaczęłam się szarpać z kaloszami.
- Taaaa daaaam! – krzyknął Paweł, gdy tylko udało mi się jakimś cudem wciągnąć na mokre nogi skarpetki i kalosze.

Podniosłam wzrok, by zobaczyć, co to znów za „Taaaa daaaam”, nie mając już, szczerze powiedziawszy, ochoty na żadne niespodzianki, ale widok, który mnie w tym momencie zaskoczył, całkiem odmienił ten poranek. Na huśtawce leżał gruby koc z samochodu (tak, ten śmierdzący benzyną czy olejem, ale kto by teraz o tym myślał), a Paweł stał obok z kubkiem termicznym w dłoni, jak z jakimś trofeum.

- Mój kubek! Skąd masz mój kubek?
- Spakowałem go do schowka w aucie jeszcze wczoraj, żeby go nie zgubić. Tak szybko jednak wyszłaś z domu, że nie zdążyłem ci powiedzieć.
- Masz tam kawę?
- Jeszcze ciepłą!

Usiadłam na wyścielonej kocem huśtawce, nie czując w tym momencie zupełnie szorstkości materiału, która wczoraj przeszkadzała mi w zaśnięciu. Po moim ciele rozchodziło się przyjemne ciepło i to wcale nie była zasługa tego koca, płaszcza, kaloszy, grubych skarpet czy gorącej kawy. Było to ciepło płynące z serca, które Paweł w tym momencie rozgrzał swoją obecnością.

Wzięłam łyk napoju i popatrzyłam przed siebie. Gęste, posępne, stalowoszare chmury w kilku miejscach zrobiły się dziurawe, a przez te nieregularne prześwity przedzierały się promienie słońca niczym złote włócznie, które sprawnie rozrywają mrok, docierając swoimi jasnymi smugami aż do spragnionej światła ziemi. Krajobraz roztaczający się ze wzgórza pod starą lipą nagle nabrał barw. Lekko rozświetlone promieniami słońca łąki i towarzyszące im w oddali drzewa wyrwały się naraz z tej szarej monotonii, odsłaniając swoje prawdziwe oblicze. Piękne, magiczne oblicze.

Siedziałam tak na kocu, na huśtawce pod wiekową lipą w starym płaszczu i kaloszach, trzymając w ręce kubek termiczny z gorącą kawą, a Paweł siedział obok z tym swoim ciemnym wczorajszym zarostem na twarzy i w tym swoim sebowym dresisku, o dziwo w tej chwili cholernie męskim. Patrzyliśmy na chmury, łąki i lasy, nie myśląc o przeprowadzce, remontach czy kredytach, tylko po prostu ciesząc się tym, co tu i teraz. To właśnie ta teraźniejszość, której wczoraj wieczorem tak mi brakowało. Ta zwykła i niezwykła zarazem.

Czasem zdaje się, że wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że świat spiskuje przeciwko tobie. Każdy twój krok grzęźnie w błocie, każda desperacka walka o marzenia kończy się poślizgnięciem na mokrym mchu, a każda próba przetrwania tego wszystkiego z podniesioną głową kończy się kłodą lub kamieniem pod nogami i bolesnym

upadkiem. Gorzki los, kpiąc sobie z ciebie, pokazuje ci na miliony sposobów, że marzenia to jedno, a życie to drugie, i nawet gdy poturbowana docierasz wreszcie do celu, siadasz ostatecznie na mokrej huśtawce, nie masz czego podziwiać, a kawa jest zimna. Załamujesz się, bo miało być inaczej. Miało być pięknie, a zamiast wymarzonej magii chwili pojawia się rozczarowanie. I wtedy, gdy jesteś już na skraju, nie radząc sobie zupełnie ze ścianą przeszkód, pojawia się on, jak ostatnia, ledwie tłąca się iskierka nadziei. Nie z cudowną różdżką odmieniającą rzeczywistość. Nie z rozwiązaniem idealnym i doskonałym, perfekcyjnie wpisującym się w twoje utracone przed chwilą marzenia. Z zakurzonym starym płaszczem, niemodnymi kaloszami i gryzącym kocem. Jednocześnie jednak też z ciepłym spojrzeniem, czułym uśmiechem i nienachalną obecnością, mówiąc całym swoim ciałem po prostu „jestem tutaj”. Z gorącą kawą w kubku termicznym, który spakował specjalnie dla ciebie, choć miał głowę zaprzątniętą milionem innych spraw. I w tej jednej chwili wszystko to, co miało być doskonałe, rozpada się w drobny pył, a ten nieidealny moment, w którym trwacie razem, staje się cenniejszy od wyidealizowanego marzenia i wart znacznie więcej niż jego spełnienie. To jest prawdziwa magia chwili.

– Cholera! Leje! – krzyk Pawła szybko sprowadził mnie na ziemię i dopiero w tym momencie poczułam zimne krople kapiące mi na głowę. – Dlatego właśnie chciałem wcześniej sprawdzić pogodę!

Żegnaj, magio chwili.